

Przemiana



Napisał: Dariusz Filar

Ilustrował: Włodzimierz Terechowicz

Przypuszczenia, które przedstawiam, nie pretendują do tytułu hipotezy naukowej, nie jestem bowiem uczonym, lecz podróżnikiem i dziennikarzem, a mój udział w ekspedycji Richarda Neaketha był wynikiem zwykłego przypadku. Reportaż opatrzyłem tytułem „Przemiana”, a więc już na wstępie sugeruję, że różnice dzielące człowieka współczesnego i tajemniczą istotę, na której ślad natrafiła ekspedycja, wynikają z trwającego miliony lat procesu przekształceń, ale nie wykluczają możliwości istnienia między wspomnianą istotą i gatunkiem *Homo sapiens* ścisłego pobratymstwa krwi. Nie będę zdziwiony, jeżeli owo pokrewieństwo zostanie z czasem dowiedzione. Oczywiście, może się stać inaczej — prawdziwie naukowe wyjaśnienie zagadki przyniosą nam badania ogromnego sztabu uczonych, który pod kierunkiem R. Neaketha kontynuuje prace zapoczątkowane przez południowoamerykańskie odkrycia tego słynnego antropologa.

Kiedy przed dwoma laty Richard Neaketh posuwając się w górę jednego z dopływów Amazonki natrafił w jego środkowym biegu na nie znane dotąd nikomu

plemię indiańskie, nic nie zapowiadało sensacji na skalę światową. Zaskoczenia nie wywołał nawet niezwykle niski poziom rozwoju tej społeczności, gdyż formy bytowania charakterystyczne dla wspólnoty pierwotnej napotymano w tym rejonie Ameryki Południowej niejednokrotnie. Neaketh poświęcił na obserwacje plemienia około dwóch miesięcy, opanował podstawy jego języka, nakręcił kilka barwnych filmów, wreszcie zgromadziwszy pewną ilość narzędzi, broni i strojów, powrócił do Europy. Wydawało się, że sprawa ucichnie zupełnie, kiedy nieoczekiwane odkrycie przyciągnęło ku niej uwagę uczonych i dziennikarzy — groty przywiezionych przez Neaketha włośniki okazały się szpikulcami sporządzonymi z tworzywa sztucznego, które nie było znane współczesnej chemii! W jaki sposób znalazło się w rękach prymitywnych łowców? Czy było produktem znanego tylko im, skomplikowanego procesu technologicznego? Czy powstało wskutek działania naturalnych sił przyrody? Takie pytania zadawano sobie powszechnie, a kolejna ekspedycja Neaketha wyruszyła w dziewiczą puszcze.

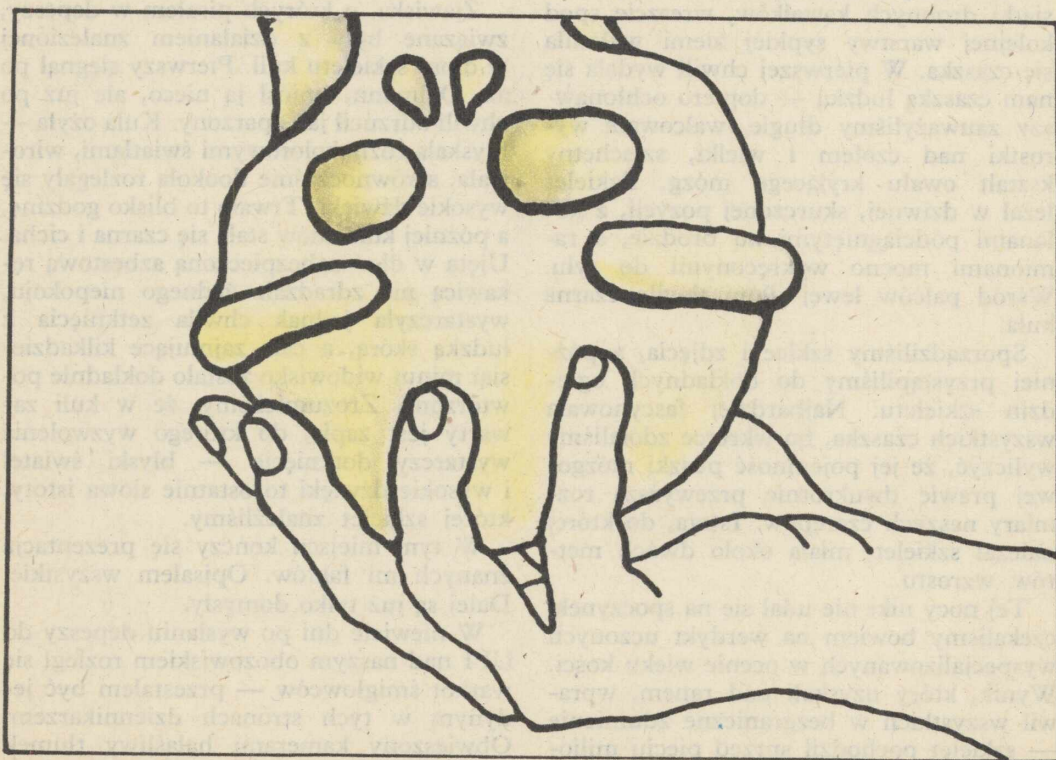
Lodzie wyprawy napotkałem na Amazonce w pobliżu Obidos, a Neaketh, z którym znamy się od dawna, pozwolił mi zająć miejsce w jednej z nich. Kilka tygodni później dotarliśmy do celu.

Widok zagrzebanej wśród błotnistych rozlewisk osady rozwił we mnie resztki wiary w to, że jej mieszkańcy mogą być wytwórcami tworzywa — te drobne, porozumiewające się za pomocą gardłowych okrzyków istoty nie miały nawet ognia! Neaketh ostrzegał mnie, że wyciągam wnioski zbyt pochopnie, ale nie zmieniałem zdania. Jakoż okazało się, że miałem rację — po kilku dniach, oswoiwszy się z nami, tubylcy wskazali miejsce, z którego wydobywali materiał na groty. Kilkaset metrów od osady znajdowało się rozległe zagłębienie o ścianach nagich, nie porośniętych żadną, najwładniejszą nawet zielenią. To miejsce, suche i martwe, a ukryte wśród kipiącego nieogarnionym bogactwem życia wywarło na nas ponure wrażenie. Wiedzieliśmy, jak szybko powraca puszcza na każdą wydartą jej pięćdziesiąt kilometrów wielki lej, którym zawładnąć nie zdołała, budził w nas uczucie zrozumiałego nie-

pokoju. Dno zagłębienia zaścielały odłamki, które — po oszlifowaniu i wywierceniu otworu — myśliwcy osadzali na drzewcach swoich włócznie. Odłamki te przypominały kształtem skorupy rozbitych naczyń, ale nie zdołaliśmy złożyć ich w żadną całość.

Następnego dnia po odkryciu zagłębienia rozpoczęto w nim prace wykopaliskowe. Im głębiej sięgały łopaty, tym więcej odłamków ukazywało się naszym oczom. Trzeciego dnia pracy natrafiliśmy na dużą, owalną płytę, której jaśniejszą stronę pokrywały okrągłe tarcze wypełnione gęsto drobnymi, barwnymi znakami — przywodziły na myśl cyferblaty starych zegarów. Potem wydobyliśmy jeszcze wiele innych przedmiotów, których kształty pozwalały snuć niezliczone domysły co do ich przeznaczenia.

Wszystko, co wydobyto z ziemi, nawet najdrobniejsze okruchy, zbierano do specjalnych pojemników, a wieczorem, po powrocie do obozu oglądano uważnie i poddawano wstępnej selekcji. Dobiegał końca pierwszy tydzień naszego pobytu w osadzie, kiedy wykopano najcenniejszą zdobycz. Słońce już zaszło, siedzieliśmy



w namiotach opróżniając pojemniki z pło-
nów minionego dnia, kiedy nagle pode-
rwał nas czyjś głośny krzyk:

— Chodźcie! Znalazłem!

Wypadliśmy na plac w środku obozowi-
ska i ujrzelśmy Paula Dalmanna wyma-
chującego nad głową kawałkiem grubego,
szarego patyka.

— To jest kość! — krzyczał Dalmann.

Lekarz wyprawy, Vincent von Noort,
obejrzał uważnie przedmiot znalezionej
przez Dalmanna, a później skinął głową.

— Masz rację — powiedział — Kość...
Kość ludzka — to fragment piszczeli.

— Wracamy tam zaraz — zarządził
Neaketh. — Zabrać reflektory.

Od razu zapomnieliśmy o zmęczeniu,
w kilka minut później opuściliśmy obóz.

— Kopałem w kwadracie szóstym —
opowiadał Dalmann. — Znalazłem tę kość,
ale nie zwróciłem na nią uwagi, bo wśród
wielu rzeczy, które dziś wydobyłem, nie
rzuciła się w oczy. Dopiero w obozie zda-
łem sobie sprawę, że to może być to...

Dotarliśmy na miejsce. Po kilku chwila-
ch pracy na dnie dołu zobaczyliśmy zębra
i kości rąk, później odgrzebywaliśmy dzie-
siątki drobnych kawałków, wreszcie spod
kolejnej warstwy sypkiej ziemi wyłoniła
się czaszka. W pierwszej chwili wydała się
nam czaszką ludzką — dopiero ochłonąw-
szy zauważyliśmy długie, walcowate wy-
rostki nad czołem i wielki, szlachetny
kształt owalu kryjącego mózg. Szkielet
leżał w dziwnej, skurczonej pozycji, z ko-
lanami podciągniętymi ku brodzie, a ra-
mionami mocno wykręconymi do tyłu.
Wśród palców lewej dłoni tkwiła czarna
kula.

Sporządziliśmy szkice i zdjęcia, a póź-
niej przystąpiliśmy do dokładnych oglę-
dzin szkieletu. Najbardziej fascynowała
wszystkich czaszka, bo wkrótce zdołaliśmy
wyliczyć, że jej pojemność puszkowej
prawie dwukrotnie przewyższa roz-
miary naszych czerepów. Istota, do której
należał szkielet, miała około dwóch met-
rów wzrostu.

Tej nocy nikt nie udał się na spoczynek,
czekaliśmy bowiem na werdykt uczonych
wyspecjalizowanych w ocenie wieku kości.
Wynik, który uzyskali nad ranem, wpra-
wił wszystkich w bezgraniczne zdumienie
— szkielet pochodził sprzed pięciu milio-

nów lat. Upłynęło niewiele czasu, a komu-
nikat o odkryciu zamieściła prasa całego
świata — ja byłem dziennikarzem, który
udostępnił tę wiadomość największym age-
ncjom. Tekst depeszy, którą — z prośbą
o przekazanie UPI — wysłałem przez ra-
dio do swego przyjaciela w Manaus,
brzmiał następująco:

„Słynny antropolog Richard Neaketh
znalazł podczas prac wykopaliskowych
w dorzeczu Amazonki szkielet ludzki
sprzed pięciu milionów lat. Do tej pory
najstarsze wykopaliska kości ludzkich
pochodziły sprzed dwóch milionów lat.
Czaszka należąca do szkieletu, różni się
kształtem od czaszek istot ludzkich
sprzed setek tysięcy lat — na kości czo-
łowej ma dwa, rozmieszczone symetrycz-
nie i mierzące około sześciu centymet-
rów walcowate wyrostki, a objętość jej
puszki mózgowej przekracza osiemset
centymetrów sześciennych. Trwają ba-
dania zmierzające do wyjaśnienia za-
gadkowego znaleziska. Szereg zjawisk
wskazuje na wysoki szczebel rozwoju
cywilizacji, z której pochodziła tajemni-
cza istota”.

Zjawiska, o których pisałem w depeszy,
związane były z działaniem znalezionej
w dłoni szkieletu kuli. Pierwszy sięgnął po
nią Dalmann, uniósł ją nieco, ale już po
chwili odrzucił jak oparzony. Kula ożyła —
błyskała różnokolorowymi światłami, wi-
rowała, a równocześnie dookoła rozlegały się
wysokie dźwięki. Trwało to blisko godzinę,
a później kula znów stała się czarna i cicha.
Ujęta w dłoń zabezpieczoną azbestową rę-
kawicą nie zdradzała żadnego niepokoju,
wystarczyła jednak chwila zetknięcia z
ludzką skórą, a całe zajmujące kilkadzie-
siąt minut widowisko zostało dokładnie po-
wtórzono. Zrozumieliśmy, że w kuli za-
warty jest zapis, do którego wyzwolenia
wystarczy dotknięcie — błyski światła
i wysokie dźwięki to ostatnie słowa istoty,
której szkielet znaleźliśmy.

W tym miejscu kończy się prezentacja
znanych mi faktów. Opisałem wszystkie.
Dalej są już tylko domysły.

W niewiele dni po wysłaniu depeszy do
UPI nad naszym obozowiskiem rozległ się
warkot śmigłowców — przestałem być je-
dynym w tych stronach dziennikarzem.
Obwieszony kamerami hałaśliwy tłumek

zarzucił nas gradem pytań. Neaketh nie udzielił ani jednej odpowiedzi, bo nie chciał podierać swym autorytetem żadnej niedowarzonej koncepcji — uważał, że w całej sprawie kryje się zbyt wiele zagadek, z których łatwo zbudować tanią sensację.

Inni okazali się mniej powściągliwi. Prawie wszyscy uważali, że tajemnicza istota była przybyszem z innego świata, który poniósł śmierć wskutek katastrofy przy lądowaniu. Najbogatszą teorię zbudował Dalmann — jego zdaniem przed pięcioma milionami lat na bezludną jeszcze Ziemię przybył statek z innej galaktyki przynosząc na swoim pokładzie liczną załogę. Kosmiczni żeglarze nie znaleźli na naszej planecie korzystnych warunków, ale uszkodzenie pojazdu nie pozwoliło im odlecieć. Kolejne pokolenia przybyszów padły ofiarą degeneracji, która po dwóch milionach lat przywiodła je do stadium australopiteków. Wtedy dopiero nieznaną bodziec dał początek kolejnemu procesowi ewolucji, która dźwignęła upadłych geniuszy ku nowej wspaniałości, a za milion lat doprowadzi współczesnego człowieka do poziomu reprezentowanego przez rozbitków w dniu przybycia na Ziemię. Według Dalmanna znaleziony przez nas szkielet był jednym z wielu, które kryją jeszcze puszcze i pustynie.

Zdanie Dalmanna podzielałem blisko rok — pokrewieństwo z istotą o wspaniałej czaszce i perspektywa osiągnięcia przez mych późnych wnuków ewolucyjnych szczytów wydawały mi się czymś, w co warto wierzyć.

Najlepszym rozwiązaniem zagadki byłoby oczywiście odczytanie zapisu (czy to jest rzeczywiście zapis?) zawartego w czarnej kuli, ale to zadanie trudniejsze niż rozszyfrowanie hieroglifów. Nasze poznanie życia starożytnych Egipcjan przyniosło klucz do przeniknięcia tajemnicy wielu znaków ich pisma, a o życiu istoty, której szkielet znaleźliśmy, nie wiemy nic.

Rozważania o treści listu, który zawierała kula, przywiodły mnie do stworzenia własnej teorii wyjaśniającej losy naszego domniemanego przodka. Pewnego dnia pomyślałem po prostu, że mógł to być nasz praprawnik, człowiek z dalekiej przyszłości, który zablądził w zamierzchną przeszłość.

Krótkie pauzy dzieliły błyski i dźwięki wydawane przez kulę na cztery części. Spróbowałem wyobrazić sobie, o czym mówi każda z nich. Wyjaśniam, że nie zamierałem tłumaczyć listu, a tylko podjąłem wysiłek napisania historii, która — moim zdaniem — może być w nim zawarta.





I

Jonasz padł w morze i stanęły wody od burzenia swego. Unosił się na spokojnej powierzchni, po której z rzadka tylko przebiegały gnane wiatrem laskotliwe fale. Był nagi, ale dookoła czuł uspokajające ciepło. Mgła unosiła się nad wodami, za nią kryły się lądy i sunące ku ich brzegom okręty. Jonasz nie oczekiwał wylowienia, nie pragnął go nawet, bo przyniosłoby kres leniwemu kołysaniu, a z tym było mu dobrze. Otwarta paszcza wielkiej ryby ukazała się tak nagle, że nim zdążył poczuć strach, mknął już w rwącym strumieniu przez gorącą ciemność. W niszy o ścianach czerwonych i świecących matowym blaskiem siedzieli trzej nadzy mężczyźni.

— Nie jesteś szcepiony? — zapytał jeden z nich.

— Nie — odparł Jonasz.

Podeszli ku niemu, a wtedy zobaczył w ich rękach białe, wystrzone ości. Ukluli go jednocześnie.

Ból wyrwał go ze snu, zmusił do otwarcia oczu. Leżał pod przejrzystą pokrywą komory anabiotycznej, na skórze przedramienia

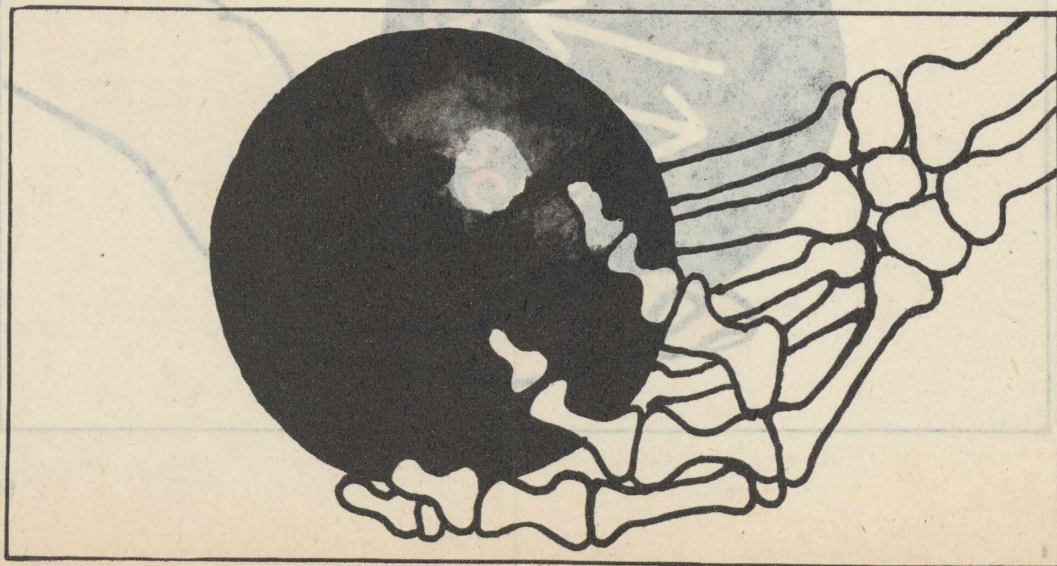
pęczniała kropla krwi. Zauważył strzykawkę chowającą się wolno do ukrytego w ścianie komory pojemnika.

— To już? — szepnął

Wiedział, że niedługo będzie musiał wstać i myślał o tym z niechęcią.

II

Pewnego popołudnia, nie pamiętasz już kiedy to dokładnie było, przestałeś pragnąć czegokolwiek. Stałeś nagle na środku ruchliwego chodnika i pograżyłeś się w zadumie. Obok przechodzili ludzie i przyglądali ci się ze zdziwieniem, ale ty nie zwracałeś na nich uwagi. Myślałeś o swojej karierze naukowca i o dniu, w którym ją porzuciłeś, bo bieg ku poznaniu wydał Ci się machiną od lat sunącą naprzód jedynie siłą bezwładu. Wspominałeś książki, które napisałeś później i rozgłos, jaki ci przyniosły. Ale od tego też przecież odszedłeś... Nadszedł czas, kiedy nie chciałeś już tworzyć niczego poza własnym życiem, postanowiłeś osiąść świadomość wszystkich ludzkich uczuć. Przyjmowałeś je odrzuciwszy wybór i radość wypełniała cię nawet wtedy, gdy wymierzano ci uderzenia. Wierzyłeś, że nawet one czynią cię bogatszym. Tamtego popołudnia spostrzegłeś nagle, że od dawna stoisz w miejscu. Ujrzałeś siebie wtłoczonego w kilka schematycznych rozwiązań, które zaczynają się powtarzać coraz częściej, bo innych twoja epoka ofiarować nie może. Dano ci już wszystko, wciąż jeszcze czułeś niedosyt, ale przed tobą były tylko naśladownictwa minionych wrażeń. Zrozumiałeś, że od tej



chwili nic cię już naprawdę nie będzie absorbować.

Czułeś się znakomicie, świadomość, że niczego nie oczekujesz, budziła śmiech.

Myśl o śmierci wypłynęła z samego środka twojej radości, pusta i lekka jak wszystko, co czułeś. Zastanawiałeś się przez moment, nim stwierdziłeś, że śmierci także nie pragniesz. W chwilę później przez twoją oczyszczoną z dążeń świadomość przemknął cień jakiejś tęsknoty — zamglony obraz niósł ciepło promieni słońca, bezwolne rozluźnienie całego ciała, pełnię zaspokojonych żądz, doskonałą wolność, a w tej nieświadomości dobra i zła oraz doznania, dla których nie umiałeś znaleźć nazwy. Wiedziałeś już, że nigdy nie byłeś w tym miejscu, więc wysilałeś mózg, by zgadnąć, skąd wzięła się w tobie ta wizja. Potem roześmiałeś się głośno — pojąłeś, że pragniesz odwiedzić raj.

III

„Tachistos”... Dlaczego zgłosiłem chęć udziału w wyprawie tego statku szaleńców? Dzisiaj nie umiem już odpowiedzieć na to pytanie. Byłem autorem książek, których bohaterów uznano za najwierniejsze portrety przedstawicieli młodego pokolenia — może sam chciałem stać się legendą... Może uciekałem? Odjeżdżając na statek powiedziałem:

„Niewiele jest myśli ludzkich, których poznanie wywarłoby na mnie wrażenie równe temu, jakiego doznałem czytając projekt pierwszej wyprawy rakieta tachionową. Oderwać się zupełnie od własnego gatunku, przejść granicę wyznaczoną przez ślepy mechanizm przyrody, przelamać magiczną barierę szybkości światła, w pędzie zmierzającym ku nieskończoności osiągnąć krańców Kosmosu — oto zadanie na miarę naszych czasów! Wiem, że owoców mego poznania nie będę mógł przekazać na Ziemię, wiem, że to wyprawa bez powrotu. Nie budzi się we mnie lęk, kiedy o tym myślę. Przemijanie jest dla mnie takie samo w każdym punkcie czasu i przestrzeni. W parafrazie przypomnę słowa Anacharsisa — istnieją trzy rodzaje ludzi — ci którzy żyją, ci którzy umarli i ci, którzy zglębiają w Kosmosie”.

Czy wierzyłem we własne słowa? Czy

gnał mnie chwilowy nastrój. Nie wiem, nie wiem...

IV

Jonasz podniósł pokrywę i zeskokczył na podłogę kabiny. W całym ciele czuł ból, w ustach rosła gęsta kula suchej goryczy. Z wysiłkiem założył skafander i wyszedł na korytarz. Uderzyła go panująca wszędzie cisza. Poszedł korytarzem ku kabinom innych członków załogi, ale drogę zagroziła mu awaryjna pokrywa. Zawrócił i pobiegł do sterówki. Jedno spojrzenie na tablicę kontrolną powiedziało mu, że został sam — ta część „Tachistosa”, w której lecieli inni, już nie istniała. Minęła długa chwila, nim zaczął się zastanawiać nad sytuacją. Spojrzał na szybkościomierz i stwierdził, że w ciągu sekundy przebywa teraz trzydzieści tysięcy kilometrów. Potem pochylił się nad wskaźnikiem położenia statku i po raz drugi od chwili przebudzenia ogarnęło go pełne trwogi zdumienie: „Tachistos” zbliżał się do Ziemi. „Wracam?” — myślał Jonasz — „Jak to się stało?” Zapragnął natychmiast nawiązać łączność z rodzinną planetą, ale aparatura była uszkodzona. „I tak mnie zauważaj” — myślał — „Przygotuję wszystko. Wyląduję. Wrócę... będę tam...”

Czuł się coraz gorzej, w obolałej czaszce kłębiły się tysiące myśli. Zacisnął palce na czarnej kuli. Zaczął opowiadać.



Na tym kończy się moja wizja listu Jonasa. Co zdarzyło się później? Jonasz pędził ku Ziemi wierząc, że znajdzie ocalenie, a czekała go śmierć. Budowniczo wie jego statku nie wiedzieli, że lot z szybkością przekraczającą pęd światła kończy się zawsze w tym punkcie przestrzeni, z którego się rozpoczął, ale — w zależności od przewagi nad światłem — w innym obszarze czasu. Jonasz wyruszył w swoją podróż w rozkwicie polibiocenu, a powracał na planetę o miliony lat młodszą, w końcową fazę pliocenu. Nikt nie wypatrywał w niebie nadlatującego statku, nie wysłano raket ratowniczych. Jonasz o tym nie wiedział...

Ziemia rosła przed nim, pęczniała w ramach ekranów.